

Alaska -w pogoni za misiem...



Rafting rzeką Birch Creek

Uczestnicy: Jacek, Michał, Andrzej

Główny cel wyprawy: polowanie fotograficzne na niedźwiadki...

Kraina łobuzów...

Na zewnątrz szalała zamieć. Styczniowy poranek, jeszcze ciemno i do tego to wycie wiatru. Wtulony w koce, przy kiepskim świetle biurowej lampki, kończyłem jedną z książek mojego ulubionego młodzieńczego pisarza. „Biały kiel” Jacka Londona po raz kolejny rozpalili moją dziecięcą wyobraźnię. Jako gówniarz kochałem tego Gościa. Historie, które tak barwnie przedstawiał, burzyły moją krew do czerwoności. Potrafiłem zatracić się w jego dzikim, tajemniczym świecie. Zaczynając książkę nie było siły, żeby ktoś lub coś przerwało mi jej dokończenie. Dlatego też znowu, bez cienia zastanowienia postanowiłem odpuścić sobie szkołę, udając się na przysłowiowe wagary. Oczywiście po raz kolejny narażałem się tym samym nauczycielom, przysparzając następnych siwych włosów moim rodzicom, podczas kolejnej wywiadówki... Nic się dla mnie w danym momencie nie liczyło. Facet brał mnie w swoje panowanie, ale przede wszystkim opisy jego przygód, mające swoje miejsce na terenach, które po kilkudziesięciu latach, podobno tylko nieznacznie się zmieniły. Minęło trochę czasu, a mój umysł w dalszym ciągu czuje tego ducha przygody i awanturnictwa, przenosząc moją już nie tak młodą wyobraźnię w tę niesamowitą krainę. Tak – śmiem twierdzić, że właśnie przez Jacka Londona, Alaska zawsze już będzie na mnie tak działać. Bezustannie wywołując ciągłe pragnienia, aby przemierzać jej bezkres, nie tylko w swoich myślach.

Adrenalinka

Wybraliśmy środkowo-wschodnią część Alaski- tę graniczącą z Kanadą. Ktoś zorientowany powiedział mi kiedyś, że po pierwsze jest tam niesamowicie pięknie, a po drugie rejon ten obfituje w ogromną ilość niedźwiedzi, zarówno tych czarnych- baribali, jak i tych bardziej niebezpiecznych, grizzly. Ogólna koncepcja była prosta, spławić się pontonem raftingowym po rzece Beaver Creek, dotrzeć do Jukonu, a następnie wrócić do cywilizacji- nic nowego. Trzech chłopaków wypuściło się po wodną przygodę. Ale nami kierowało jeszcze jedno i właściwie podstawowe zamierzenie- konkretnie małe polowanko, na często tam podobno spotykane miśki...

Nie chodziło oczywiście o polowanie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Generalnie brzydzę się zabijaniem zwierząt, jeśli nie mamy na celu przetrwania. Zdarza mi się niekiedy pozbawiać własnoręcznie życia ryby, ptactwo czy nawet ssaki, ale zupełnie nie trawię typowego łowiectwa czy jak to tam nazwać... Tak zwanych „macho man’ów” (czytaj zakompleksionych chłopców z małym przyrodzeniem), zabijających zwierzęta dla zastrzyku adrenaliny i poczucia władzy. Wyposażeni w noktowizory i lunety, przesiadują nawaleni na ambonie myśliwskiej, ekscytując się swoją „męskością”, co jakiś czas wlewając w swoje spalone brzuszyska następnego browara. Dla przykładu sytuacja, która miała miejsce w Bajkalsko – Leńskim Parku Narodowym na Syberii. Strażnik parku Witia opowiadał mi, że co jakiś

czas grupa „myśliwych”, nachlanych nowobogackich, potrafi z helikopterów pruć z kałasznikowa (karabin maszynowy) do uciekających zwierząt. Czym większy egzemplarz padnie, tym lepiej. Albo panowie ze strzelbami jak armaty, polujący na słonie i inne ginące zwierzęta Afryki. Zapłaci taki koleś kilkadziesiąt tysiaków, podwiozą go samochodem w odpowiednie miejsce i odda strzał. Następnie łeb albo skórę przypnie gwoździem w swoim gabinecie, chwając się kolegom prze kolejnej szklaneczce whisky- żenujące... Nie jestem hipokrytą, jestem mięsożerny i nie wyobrażam sobie funkcjonować bez białka zwierzęcego. Zdaję sobie sprawę ile zwierząt jest hodowanych i zabijanych, abyśmy mieli przysłowiowego schabowego na talerzu, taki jest świat. Ale jednocześnie nie będę miał żalu do miśka lub innego drapieżnika, który zrobi sobie lub swojej rodzinie, posiłek z mojego tyłka. Oczywiście nie będę z tego powodu zadowolony, ale żalu mieć nie będę. Wkurza mnie jednak ten brak szacunku do innych żyjących gatunków na ziemi i to zarówno w trakcie uboju w rzeźniach, jak i bezsensownego polowania, aby poczuć to „gilgotanie w jądrach”. Właściwie, myślę sobie: usankcjonowałbym jednak pewną formę łowiectwa. Niech każdy zdeklarowany myśliwy za broń ma jedynie łuk i nóż (ewentualnie włócznię jak u Masajów) i niech udowodni światu w końcu swoją twardość... Naprawdę ten rodzaj myślistwa wręcz bym pochwalał. Jestem przekonany, że uprawiających tego typu hobby byłoby zdecydowanie mniej, a i adrenalina w trakcie jego wykonywania niewspółmiernie większa. No to co panowie myśliwi- na dzika z nożem...!?

„Uszatek”

Inny czas, inne miejsce, od kilku godzin te same powtarzające się ruchy. Miarowe uderzanie wiosłem o wodę, w głębokiej otaczającej ciszy powoduje, że traci się poczucie czasu. Ruchy stają się automatyczne, bezwiedne, nierzeczywiste- zaczynam odpływać. Przypomina to trochę odprawianie mantry na sposób czysto fizyczny. Czasami przy każdym pociągnięciu, wspieram się gardłowym „hammmm”, wydobywającym się z ust zupełnie bez pomocy świadomości. Można rzec medytacja w czystej postaci. Kilkukilometrowe góry na brzegu Bajkału oddaliły się niepostrzeżenie, co summa summarum nie jest zbyt rozsądne. Choć w tym momencie „Morze Syberii” przypomina krystaliczną tafłę wody, to w każdej chwili nad szczytami gór mogą się pokazać charakterystyczne, ciemne, postrzępione obłoki. Jest to znak, że zostało naprawdę mało czasu, zbliża się „garniak”, jeden z niebezpieczniejszych wiatrów na Bajkale. Uderza zawsze od strony gór, stąd też jego nazwa. Nie należy do najsilniejszych. Jak się rozkręci, to potrafi dmuchnąć z siłą „co najwyżej” 120-150km na godzinę. Główne jego niebezpieczeństwo polega na nieprzewidywalności. Od momentu pokazania się tych charakterystycznych chmurek, zostaje nam co najwyżej 15 minut, aby bezpiecznie dotrzeć do brzegu. Później bywa to trudne. Dlatego też, odzyskując zmysł rzetelnej obserwacji, skierowałem dziób kajaka do odległego o kilka kilometrów brzegu i zacząłem z większym zainteresowaniem przyglądać się otoczeniu. Krystaliczność powietrza była niesamowita. Odległe pasma górskie po drugiej stronie jeziora, wydawały się na wyciągnięcie ręki. Nawet resztki śniegu z poprzedniej zimy, zalegające na wierzchołkach, można było bez problemu dostrzec gołym okiem. Głęboki, ciemnogranatowy kolor wody przypominał o kilkusetmetrowej lub może nawet kilometrowej głębi pod moim zadkiem. Nad głową słońeczko prażyło niemiłosiernie, dlatego też od czasu do czasu zdejmowałem kapelusz, nabierałem jak do wiadra zimną, krystaliczną wodę i robiłem sobie tusz, ochładzając rozgrzane ciało – żyć nie umierać...

Brzeg jeziora Bajkał po jego zachodniej stronie jest dosyć charakterystyczny. Czasami góry schodzą bezpośrednio do wody, tworząc niesamowite i ciekawe formacje skalne. W przeważającej jednak części występuje kamienista plaża, zamknięta od strony lądu kilkumetrowym klifem skalnym lub piaszkowym, podmywanym przez sztormowe fale. Przy samym brzegu zdarzają się niekiedy, skupiska rozrzuconych ogromnych głazów kamiennych, różnych kształtów i wielkości. Do takiego zwałowiska właśnie się zbliżałem, z zamiarem odbycia drobnej popołudniowej sjesty. Byłem jeszcze daleko, kiedy zwrócił moją uwagę jeden z pomniejszych otoczków. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, iż ulegam omamom wzrokowym, ponieważ głaz nieznacznie zmienił swoje położenie. Do brzegu było jeszcze dobre kilkaset metrów więc perspektywa miała prawo w pewien sposób ulec zniekształceniu. Jednakże podpływając coraz bliżej upewniałem się, że ten mały punkt na linii brzegowej ewidentnie się porusza. Od dobrych czterech dni, nie spotkałem na swej drodze żadnego śladu człowieka. Dodatkowo zbliżałem się w rejon Syberii, który słynie z występowania największej po kamczackiej populacji niedźwiedzia brunatnego. Moje serce nieznacznie przyspieszyło rytm. Nie chciałem wierzyć swojemu szczęściu. Po następnych dwustu metrach byłem już pewien, że nie mam do czynienia z człowiekiem. Niemal przestałem oddychać łudząc się, że wiatr mnie nie zdradzi przenosząc mój zapach i płosząc zwierzaka (niedźwiedzie podobno mają jedno z najczulszych nosów ze wszystkich ssaków). Powoli, niezauważalnie, zbliżałem się w iście żółtym tempie do mojego pierwszego niedźwiedzia w życiu. Bo już byłem pewien, że duch Syberii zorganizował mi niesamowity prezent- randkę z królem tajgi...

Na ostatnie 100 metrów podchodów poświęciłem ponad pięć minut. Niedźwiadek był zajęty szukaniem czegoś do zjedzenia i nie spodziewał się od strony wody żadnego zagrożenia. Wiatr wiał tak jak sobie tego życzyłem, dzięki czemu niepostrzeżenie zbliżyłem się na około trzydzieści metrów. Wydobywałem wiosło z wody w taki sposób, aby żadna ściekająca kropla nie wywołała jego czujności. Jednakże niespecjalnie to pomogło, a może po prostu jego węch zareagował, w każdym razie flegmatyczna, sielska atmosfera zmieniła się w ułamku sekundy. Gościu nie był zbyt potężny, oceniam go na 150, może 200 kilogramów. Kiedy tak sobie buszował między kamyczkami wyszukując obiadek, poruszał się jak totalna lebiega. Oszczędny w ruchach, lekko sierotowaty, z koślawymi przednimi łapami zwróconymi do wewnątrz. Nie wyglądał groźnie, raczej jak sympatyczny, duży pluszaczek, porzucony na brzegu przez jakiegoś dzieciaka. I nagle dynamit, totalna metamorfoza. Po stwierdzeniu niebezpieczeństwa w ciągu sekundy, może dwóch, w kilku potężnych susach znalazł się na siedmio metrowym, prawie pionowym klifie. Szybkość i zwinność z jaką to uczynił, wprawiłaby w podziw każdego akrobata, a moja szczęka opadając ze zdumienia, uderzyła o burzę kajaka. Z wrażenia znieruchomiałem. On natomiast, uznając widocznie, że z tej odległości nie jestem już dla niego takim zagrożeniem, zatrzymał się i dopuścił do siebie swoją drugą naturę – ciekawość. Stał i zaczął mi się wnikliwie przyglądać. Bywa, że od czasu do czasu misie polują na nerpy, endemiczne foki bajkalskie. Ja jednak, wciśnięty w kajak, prawdopodobnie nie do końca ją przypominałem, dlatego cały czas miałem wrażenie, że podlegam gruntownej ocenie – jestem groźny czy ewentualnie mogę stanowić urozmaicenie posiłku. We mnie z kolei, po pewnym czasie, wróciła zdolność wydobywania głosu. Zaczęłem przemawiać doń, wydawało mi się ciepłym, kojącym głosem – Staaary, no nie bądź cykor, podejdź do mnie, błagam cię, zaprzyjaźnimy się deczko... Jednocześnie starając się wyłuskać z tylnich bagaży hermetycznie zapakowany aparat fotograficzny marki Zenith (Dlaczego wymieniam markę – o tym później.) W każdym bądź razie, ku mojej wielkiej radości nowy kolega postanowił w końcu sprawdzić -kto ja zacz...? Siedzę sobie w kajaku, dzierzę w dłoni przygotowany aparat fotograficzny, nastawiając się na moje najlepsze fotki w życiu, a misiek powoli, majestatycznie zbliża się, aby „przybić mi piątkę”. Czy to nie jest przysłowiowa nirwana podróżnicza...!?

Większość prawdopodobnie widziała niedźwiedzia z bliska. Na przykład w zoo, kiwające się w klatkach jak dzieci dotknięte chorobą sierocą lub w trakcie obciachowych sztuczek wykonywanych na arenach cyrkowych. Zauważyliście, że ich oczy wieją pustką. Niedźwiedź jest cholernie inteligentnym zwierzakiem, a do tego ma wielką potrzebę wolności. Jest typem „szwędacza”, pokonującego dziennie duże odległości. Indianie amerykańscy byli przekonani, że dusze bliskich zamieszkują w ich sercach. Utożsamiali się z nimi i uważali za braci. Kiedy byli zmuszeni pozbawić je życie, przeważnie w obronie własnej, prosili potem o wybaczenie, modląc się do wspólnych przodków. Na każdym kroku okazywali im nabożny szacunek i miłość. Jednakże powód tego uwielbienia i respektu można dopiero pojąć, spoglądając bezpośrednio w oczy jedynie wolnemu miśkowi. Wtedy wszystko nagle wydaje się oczywiste i zrozumiałe.

Mój nowy kolega zbliżył się na skraj wody i stanął na dwóch łapach, w dalszym ciągu przyglądając mi się nieufnie. Lekko wyciągał nos ku górze, badając mnie wnikliwie węchem. Jego oczy były tak niesamowicie ludzkie i przepełnione inteligencją, że przez pewien czas nie mogłem się otrząsnąć. Do tego momentu nie pstryknąłem żadnej fotografii. Byliśmy oddaleni od siebie może o jakieś siedem metrów i w pewnym momencie stwierdziłem, że to jest ciut za blisko na pierwszą integrację. Uświadomiłem sobie, że jeśli zaciekawienie zmieni się nagle w odmienne uczucie, to właściwie jednym skokiem jest w stanie pokonać dzielącą nas odległość. Będąc na kajaku, oddzielony głęboką wodą, miałem prawdopodobnie złudne poczucie bezpieczeństwa. Chociaż jestem przekonany, że w danym momencie, odczuwał więcej lęku ode mnie. Nie wiem ile to trwało – pięć, dziesięć, piętnaście minut, nie mam pojęcia. Przez cały ten czas, non stop przemawiałem do niego spokojnie, dziękując mu za spotkanie i automatycznie naciskałem migawkę. Nie sposób opisać tego wrażenia. Chyba za cienki jestem, aby ująć to w odpowiednie słowa, ale obraz utrwalony w mojej głowie, po tylu latach dalej jest niesamowicie rzeczywisty. Kiedy po pewnym czasie, zaspokoiwszy ciekawość, zniknął między drzewami, postanowiłem, że ostatnią buteleczką wódki, którą skrywałem w bagażu na czarną godzinę, podzielę się tego dnia z Burchanem (głównie Bóstwo zarządzające na Bajkale), w ramach rekompensaty za ten niesamowicie szczodry dar.

Kiedy kilkaset kilometrów dalej, w ciemnej piwnicy pewnego Sybiraka, wyciągałem kliszę z moim niedźwiadkiem, okazało się, że mój analogowy aparat marki Zenith zawiesił się i cały negatyw został totalnie prześwietlony. Utraciłem zdjęcia ze źródeł Leny, bazy naukowej biologów w Sołniecznaja, ale przede wszystkim ze spotkania z niedźwiedziem. I chociaż później jeszcze wielokrotnie moje drogi krzyżowały się z tym gatunkiem zwierząt, to nigdy już nie poczułem tej mistycznej więzi, jakiej doświadczyłem na brzegu tajemniczego jeziora Bajkał. I może dlatego tak mocno i emocjonalnie pielęgnuję w myślach to niesamowite wspomnienie, szukając bezustannie podobnej

„randki” i równie dobrej fotografii. Prawdopodobnie jest to następny istotny powód, dlaczego udałem się polować z aparatem fotograficznym na Alaskę. W miejsce, gdzie moje ukochane zwierzaki występują tak licznie.

Skutek dodatkowy: po tej wyprawie odstawiłem bezpowrotnie wszelkie aparaty analogowe i przeszedłem na jeszcze nie do końca wtedy, akceptowaną przeze mnie fotografię cyfrową. A na określenie Zenith, dostaję notorycznie gęziej skórki...

Spotkanie...

Podpłynął do nas wczesnym rankiem. Już z oddali zauważyliśmy typowe canoe lawirujące między korzeniami i kamieniami rzeki. Dobił do brzegu, nie do końca pewien czy zaprosimy go na poranną kawę lub ewentualne śniadanie. Spodnie z woderów, zielona bluza i kapelusz traperski. Obok na ławce oparta strzelba. Typowy przedstawiciel mieszkańca tej strefy. Może nie do końca wyglądający jak dawni traperzy, ale różniący się tylko nieznacznie. Kiedy zamieniliśmy kilka słów okazało się, że jest głodny. Nie było to dla nas nic nowego, gdyż sami od dobrych kilku dni racjonowaliśmy nasze zapasy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że pod koniec eskapady i tak będziemy musieli obyć się smakiem, ewentualnie wzmacniając się jadalnymi roślinami. Oczywiście jeśli nie dopisze nam szczęście i nie złapiemy w końcu jakieś rybki. Z początku nie chciało nam się wierzyć że my, starzy wyjadacze, nie potrafimy sobie jej zorganizować. Ale po dwóch, trzech dniach wędkarskich klęsk, przyjęliśmy to do wiadomości. Tylko zdesperowany Michał czasami wznawiał próby, nieodmiennie bez powodzenia. Nie przejmowałem się tym, gdyż nawet jeśli dwa ostatni dni przed dotarciem do cywilizacji będziemy pościć, to raczej nie zrobimy sobie krzywdy. Natomiast kiedy spotkaliśmy Autochtona, mieszkańca tych ziem, mówiącego że od dwóch dni nic nie miał w ustach, trochę się zdziwiliśmy. Kto by przypuszczał, że na Alasce, niemalże ziemi obiecanej wędkarzy, zdarzają się okresy, gdzie złapanie ryby graniczy z cudem. A wszystko to dzięki ogromnym powodziom, jakie w tym roku nawiedziły tę krainę. Mieliśmy po prostu pecha. Już w trakcie podróży pociągami do Fairbanks mijaliśmy ogromne, zalane przestrzenie. W niektórych, niżej umiejscowionych wioskach i miasteczkach, zalegała woda. Nawet alaskańska kolej, słynąca z rzetelności musiała wysadzić nas przed czasem, organizując dalszy transport autobusem bo zalane tory były nieprzejezdne. W mieście z kolei, nikt nam nie chciał wypożyczyć pontonu raftingowego, podobno ze względów bezpieczeństwa, gdyż rzeki mają wyjątkowo niebezpieczny poziom. Wszystko się w jakiś sposób sprzysięgło się przeciwko nam- same problemy. Na zakończenie okazało się dodatkowo, a tezę tę potwierdził nasz ogniskowy Gość, że brak ryb w rzekach to także wina powodzi. Oczywiście rybki są i to w dużej ilości, ale siedzą przyczajone w zamulonej wodzie, zupełnie nie zainteresowane żerowaniem. Czekają na lepsze czasy i tym samym ich głodni amatorzy, także są zmuszeni czekać..., na lepsze czasy.

Oczywiście podzieliliśmy się z Johnem naszymi zapasami, według standardów traperskich, ale także polskich. Na szlaku po prostu nie wypada inaczej. Za to odwdzińczył się nam ciekawą opowieścią o przygodzie jaką przeżył dwa dni wcześniej. Rzecz miała miejsce na dopływie rzeki, na której się obecnie znajdowaliśmy. Rzeczka była nieduża i kamienista. Canoe, mimo że zanurzenie posiada nieduże, często zawieszało się na mieliznach. Musiał wychodzić na płycizny i przeciągać łódkę ręcznie przy pomocy przywiązanego sznura. Skurczony od wysiłku parł do przodu nie rozglądając się specjalnie dookoła. W pewnym momencie poczuł się lekko nieswojo, jakby ostrzegał go szósty zmysł. Stał i spojrzął za siebie, a tu niespodzianka... Kilka metrów od niego, przyczajony do skoku szykował się czarny misiur, inaczej baribal. Jest on dużo mniejszy od brunatnego i generalnie dosyć tchórzliwy, dlatego nasz nowy znajomy był zaskoczony widząc go polującego na człowieka. Zorientował się, że ma mały problem. Nie miał przy sobie żadnej broni oprócz noża. Strzelba leżała na dnie canoe, trzy metry od niego i nie było możliwości sięgnąć po nią. A niedźwiadek mimo, że nieduży, może bardzo zaszkodzić człowiekowi, jeśli już zdecyduje się na konfrontację. Baribale atakują ludzi wyjątkowo rzadko, przeważnie kiedy zagrożone są jego młode lub bezpośrednio wejdziemy na jego teren. Zazwyczaj wystarczy z daleka krzyknąć agresywnie w jego stronę i przeważnie rejteruje. Inaczej ma się sprawa z grizzli. Te niedźwiedzie, nie znoszą być przede wszystkim zaskakiwane. Buszują przeważnie w krzakach, na borówkowych wzgórzach i w gęstych zagajnikach. Kiedy przedzieramy się w takich warunkach, dobrze jest co jakiś czas śpiewać, gwizdać, ogólnie zachowywać się głośno. Jako że niedźwiedzie, nie przepadają za naszym towarzystwem to słysząc nas, wolą się oddalić. Wyjątkowo może się jednak zdarzyć, że spotkamy na swej drodze starego, zgorzkniałego samca lub zaskoczoną mamuszkę z młodymi. Oooo, wtedy sytuacja wygląda zdecydowanie inaczej. Podobno „granica bezpieczeństwa” wkurzonej mamuski to 60 metrów, ale zdarzały się ataki nawet z trzystu. Generalnie, nie ma reguły. W takiej sytuacji pod żadnym pozorem nie można uciekać (zresztą przed żadnym gatunkiem niedźwiedzia nie można uciekać – wywołuje to u niego instynkt pogoni) Należy powoli się wycofywać, odzywać się spokojnym tonem i zmieniać sobie co jakiś czas przemoczone pampersy... Wiem że jest to trudne, ale histeryczna

ucieczka spowoduje natychmiastowy atak, nawet jeśli wcześniej chciał nas tylko przestraszyć. Kiedy wędrujemy w kilka osób, dobrze jest się skupić w gromadę i w trakcie cofki wykonywać rękami płynne ruchy nad głową. Przez to wydajemy się niedźwiadkowi więksi, a ponieważ ma bardzo słaby wzrok, nie jest pewien z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Podobno to skutkuje. Kończąc jeszcze to małe szkolenie o zachowaniu w przypadku spotkania misia dodam, że jeśli mimo wszystko nastąpi atak, to należy położyć się na ziemi, skulić się w pozycji embrionalnej i rękoma chronić głowę. Jeśli nie ma ochoty na nasze mięsko, poszarpie nas troszkę, a później pójdzie swoją drogą. W sytuacji, kiedy jednak zagustował już w befsztyku z człowieka, a takie osobniki się zdarzają, zostaje nam tylko walczyć do końca- albo on, albo ja. Mamy kiepskie szanse, ale i tak prawdopodobnie źle skończymy, więc trzeba jednak próbować.

Bardzo istotna kwestia to sprawa biwaków i zapasów jedzenia. Niedźwiedź prawie cały dzień spędza na szukaniu wyżywienia. Jeśli odwiedzi nasze obozowisko to nie po to, żeby napić się z nami wódki. Przyciągnie go zapach kiełbasy albo rybki. Dlatego też, aby uniknąć niechcianej nocnej wizyty, należy schować wszystkie zapasy do hermetycznego pojemnika lub w torbie, którą zawiesimy na drzewie kilka metrów nad ziemią. W odległości przynajmniej 150 metrów od obozu. Grizzli kiepsko wspina się na drzewach więc raczej nie pozbawi nas śniadania. Oczywiście wszystkie te „mądrości” dotyczą jedynie niedźwiedzi brunatnych i baribali. Białe miśki kierują się zupełnie innymi zasadami. Dla nich wszystko co się rusza jest posiłkiem. Kwestia tylko czy zdobycie go, pociąga za sobą większe czy mniejsze ryzyko. Ten misiaczek zawsze nas będzie odbierał jako treściwy i smakowity kotlet...

Wracając jednak do naszego Gościa oraz jego opowieści. Widać było, że facet to stary wiarus i prawdopodobnie nie jedno już widział i przeżył na Alasce. W każdym bądź razie, mimo zaskoczenia zachował się prawidłowo. Podniósł leżący obok duży kij i dodając sobie animuszu głośnym krzykiem, zaczął agresywnie nim wymachiwać, koniec końców odstraszał agresora. Sytuacja zakończyła się pozytywnie, ale kiedy ciągnął swą opowieść, na jego twarzy malowały się bardzo widoczne emocje. Zresztą, chyba trudno mu się dziwić...

Ciąg dalszy może kiedyś...

Sz.

